ROZMAITOŚCI.

Dnia 9 sierpnia, Nr. 32. roku 1845.

Sądownictwo w Mexyku.

Miasto Kosala, leżące o przeszło cztérysta mil od Mexyku, ukryte głęboko w rozległych pustyniach okręgu Sinaloa, odgrywa wielką rolę w handlu mexykańskim przez swoje kopalnie złota i śrebra. Szczególnie odbijają tam liche domy mieszkańców od złota, które wszędzie połyska. Nie masz jednak nic okropniejszego i dziwniejszego zarazem, jak obyczaje tamecznych mieszkańców, którzy zawsze prawie w wnętrznościach ziemi zagrzebani, bytność swoję na jej powierzchni tak niesłychanémi zbytkami i marnotrawstwem odznaczają, iż w obec nich blednie wyobrażenie najrozpustniejszych zbójców, zabierających się do z-użycia przypadłéj na każdego zdobyczy. Niedbający o sprawiedliwość, przeciw któréj kopalnie bezpiecznego, niedostępnego schronienia im użyczają, widzą górnicy kosalscy w kradzieży zwykły sposób do życia, a w morderstwie niclnieznaczącą rozrywkę.

Przez cały czas mego pobytu w Mexyku byłem świadkiem jedynego przykładu energijnego wykonania sprawiedliwości, jaki się od czasu wojen o niepodległość nie wydarzył; za hiszpańskiego bowiem panowania były ustawy tak nadzwyczajnie surowe i tak ściśle wykonywane, iż prawie o żadnych zbrodniach nie słyszano.

Na rok przed mojém przybyciem do Kosala, to jest w roku 1838, został don Antonio V..., młodzieniec należący do jednéj z najbogatszych i najmożniejszych rodzin miasta, przez spólników rozpusty zamordowany. Zabójcy, w liczbie pięciu, zbiegli natychmiast po spełnieniu téj zbrodni, któréj okropne towarzyszyły okoliczności; ścigani byli przez umyślnie nato najętych dragonów i uzbrojonych domowników. Cztérech z morderców zginęło w téj pogoni; poczém byłaby cała sprawa w niepamięć poszła, gdyby nie głośne rozboje jednego ze ściganych zabójców, który zbrojną ręką, nietylko nieustraszenie ale oraz nader szczęśliwie okolice Kosala i kopalnie napadał.

Wszakże i jego szczęście nie trwało długo; gdy bowiem do Kosala przybyłem, rozniosła się pogłoska, iż ten słynny rozbójnik, nazwiskiem Joachim Pacheko, właśnieco został schwytanym. Nigdzie nie mówiono o niczém inném jak tylko o tym wypadku, a więzienie Joachima, leżące na końcu *plazza*, od strony kościoła, stało się celem powszechnéj przechadzki całego miasta. Każdy chciał widziéć śmiałego rozbójnika, a każdy mógł się do woli nań napatrzyć, gdyż więzienie, będące o jednéj izbie, leżało na dole, od ulicy, i było tylko kratami otoczone, przez które mogli wszyscy widziéć Pacheka. Zresztą miał nasz uwięziony Joachim owe otwarte i poczciwe wejrzenie, które od piérwszego razu ujmuje i ku sobie pociąga. Przytém był on zupełnie spokojnym i palił z wielką godnością cienkie cygaretto, jakgdyby ciekawość ludu wcale go nie obchodziła. Miano go sądzić nazajutrz, i postanowiłem więc być obecnym przy jego osądzeniu.

Jedyny *juez de letras* *), którego mia-

*) *Juez de letras*, sędzia kryminalny, nie mogący wyrokować ostatecznie. Ponieważ jednak skazani o tém nie wiedzą, przeto nigdy prawie do wyższego nie odwołują się sądu.

łem honor znać osobiście, składał całe ciało sprawiedliwości w Kosala. Udałem się więc nazajutrz do niego około południa, w którymto czasie, jak mówiono, Joachim Pacheko miał stanąć przed sądem. Jakoż przyszedłszy, zastałem już rozbójnika przed sędzią. Nie widziałem jeszcze nigdy mniéj imponującego trybunału.

Sprzęty sądowéj sali składały się z lichego, derbą przykrytego łoża, z dwóch bambusowych stołków, ze stołu z surowego mahoniu, ustawionego na nierównéj, kamiennéj posadzce tuż przed łożem, i z trzcinowéj maty, rzuconéj przed wchodowémi drzwiami. Na łożu, wpół siedzący, rozciągnął się, z opartą na łokciu głową, mały, suchy, zmarszczkami z-orany starzec, którego obdarty ubior bynajmniéj żadnéj cechy urzędowości nie miał. Na stoliku stało *brazero* z węglami do zapalania cygarów, obok brazera leżała paczka cygarów, obok cygarów stał pyłem okryty kałamarz z pożółkłém i zaschłém piórem; papiéru wcale nie było. Joachim Pacheko, kołyszący się rozkosznie na jedném z wyżéj wspomnianych stołków, siedział obrócony plecami do dwóch dragonów, którzy go strzegli i siadłszy również jak on wygodnie na trzcinowéj pod drzwiami macie, trzymając flinty na kolanach, cygara sobie przyrządzali.

»No i cóż, mój kochanku,« — rzekł nakoniec sędzia zwracając się do Joachima — »mamyż się wziąć do twojéj sprawy?«

»Za pozwoleniem, senor!« przerwał więzień powstając z krzesła i przystępując do stołu, gdzie przy żarzących się węglach, cygareto sobie zapalił.

»I owszem, proszę cię kochanku, zapal sobie;« — odpowiedział *juez de letras* — »cygareto — to jedyna przyjemność na tym świecie... Ale od czasu jak administracyja tytoniu poszła w dzierzawę, popsuł się tytoń nieznośnie.«

»Przecież są jeszcze zuchy,« — odpowiedział Joachim — »co umią sobie dać radę z celnikami. A na przekonanie racz pan przyjąć tę paczkę cygaretów.«

»Najchętniéj!« odrzekł sędzia z uśmiéchem zadowolenia, i wziąwszy paczkę, dobył z niéj cygareto, które natychmiast zapalił. — »*Caramba!*« zawołał z rozkoszą kilka kłębów dymu puściwszy. »Masz słuszność; przewyborne! Zaprawdę — teraz tylko rozbójnicy doskonałe cygara palą. — Mój kochanku,« dodał łaskawym i pochlébnym głosem, »spodziewam się, że z przyjaźni dla mnie, pomówisz z poczciwym kontrabandzistą, który ci takich cygarów dostarcza... Będzie to z korzyścią dla niego samego; bo oprócz niezłéj sprzedaży towaru, pozyska sobie moję przyjaźń, która mu kiedyś użyteczną bydź może. — Ale przystąpmy do dalszego badania. Za cóż u licha zabiłeś tego biédnego don Antonia?«

»Nigdy sobie dostatecznéj sprawy z tego uczynku zdać nie umiałem;« — odpowiedział zabójca obojętnie — »zapewne byłem podówczas w złym humorze i miałem nerwy zbyt rozdraźnione.«

»Ha,« — odrzekł sędzia — »przyczyna nie zła; ale zawsze tylko podrzędna, i dla tego przyjąć jéj nie mogę. — Ale, po czemu téż sprzedaje twój przyjaciel ruedę cygaretów?«

»Po dwanaście realów;« — ozwał się więzień — »a każda rueda zawiéra trzydzieści dwie paczek.«

»Otóżto sprawiedliwość! A nam rząd zato dwa piastry czyli szesnaście realów płacić każe!« zawołał *juez de letras* z oburzeniem. »Wszakżeto jawna kradzież! Oczywista, haniebna kradzież! — Ale nie mówmy tu o rządach, żaden z nich niewart złomanego szeląga!«

»To prawda!« odrzekł Joachim z uśmiéchem. »Szkoda tylko, iż ich rozstrzélać nie można.«

»Ot, dobrze żeś mi rozstrzélanie przypomniał;« — ozwał się sędzia — »jeźli nie masz nic więcéj do przytoczenia, tedy nasza sprawa skończona, i zaraz wydam wyrok.«

To rzekłszy chciał *juez de letras* wziąć w rękę pióro, które przyschło do kałamarza i uporczywie wszelkim jego usiłowaniom się opiérało. — »*Caramba!*« zawołał wkońcu. »Zapomniałem kupić stęplowego papiéru — cóż tu robić?«

Nagle jakby nadzwyczajnie trafnym pomysłem uderzony, zwrócił się ku dwóm

dragonom i rzekł do nich: »Moje dzieci, ponieważ nie ma papieru na spisanie wyroku, przeto biorę was na świadków, iż skazuję Joachima Pacheko, mordercę don Antonia V... na rozstrzélanie za godzin czterdzieście osm, na tém samém miejscu, na którém zbrodnię popełnił. — Odprowadźcie go do więzienia.«

W chwili gdy skazany za próg wychodził, przystąpił *juez* do niego i biorąc go za rękę —

»Mój biédny Joachimie,« — rzekł — »spodziéwam się, że nie masz do mnie urazy za tę formalność, którą tu względem ciebie dopełnić obowiązany byłem, i że to nie wstrzyma cię bynajmniéj od polecenia mnie, jakeś przyrzekł, twojemu przyjacielowj przemytnikowi, co tak dobre cygarety sprzedaje.«

Po upłynieniu czterdziestu ośmiu godzin, Joachimowi do życia pozostawionych, wyprowadzono go z pokutnéj kaplicy, w któréj ostatnią noc przepędził, i zawiedziono go na plac tracenia. Wtedy komendant miasta przypomniał sobie, iż dnia poprzedniego wysłał całą załogę Kosalską, to jest sześciu dragonów, z transportem świéżo wydobytego śrébra, i że w téj chwili on i jego szpadu byli jedynymi reprezentantami siły wojennéj.

A że Joachim Pacheko podług wyroku miał być koniecznie rozstrzélanym, przeto komendant w niemałym był kłopocie.

Dla wyjścia z tego przykrego położenia postanowiły władze kosalskie, aby zamiast nieobecnych dragonów, trzech ludzi do rozstrzélania Joachima najęto.

Lecz łatwiéj było to postanowić niżli wykonać, już bowiem więcéj niż dwie godziny upłynęły, a jeszcze nie można było znaleźć żądanych ludzi. Nie, żeby na dobrych chęciach spełnienia wyroku sprawiedliwości zbywało, ale że nigdzie karabina nie było, gdyż wszyscy, którym los tak dalece sprzyjał, iż ich bronią palną obdarzył, używali jéj do rozbijania ludzi po gościńcach.

Wszakże po dwugodzinném szukaniu, wrócił zaszczycony tém poleceniem alkad i przyprowadził z sobą trzech umówionych oprawców. Jednakże dwóch tylko zgodziło się zupełnie, trzeci, wysokiego wzrostu, miedzianéj twarzy Indyjanin, jeszcze się wciąż targował.

»Chociaż cztery reale są zbyt małą ceną za rozstrzélanie człowieka,« — mówił on — »jednakże zgodziłbym się za tę cenę, gdyby szło o kogo innego, ale Joachim Pacheko jest moim przyjacielem... nawet przyjacielem bardzo bliskim... a przeto nie strzelę do niego za mniéj jak za sześć realów... To ostatnie słowo.«

Że zaś przeznaczona na rozstrzélanie godzina już była minęła, alkad nie zważając na niedobity targ z Indyjaninem, kazał ruszyć orszakowi naprzód, na plac tracenia. Za nim wyroiły się tłumy pospólstwa, a niezadługo okazał się skazany z mnichem, mającym pocieszać go i upominać w ostatniéj chwili.

»Mój synu,« — mówił mnich zwracając się do Pacheka, podając mu krzyż śrébrny w pocałunek — »szczęśliwy z ciebie śmiertelnik, bo dzięki rozgrzészeniu, którego ci udzielę, będziesz jeszcze dziś wieczór z naszym boskim zbawicielem wieczerzać!«

»Dziękuję ci *padre*,« — odpowiedział łagodnie Pacheko, który zdawał się być zupełnie na śmierć obojętnym — »dziękuję ci serdecznie za tę pociechę; ale nie jestem samolubem, chętnie drugim dobrze życzę; więc jeżeli tak bardzo to przyrzekane mi szczęście cenić umiész, proszę cię, racz zająć moje miejsce. Nie żądam wcale podziękowania — ofiaruję ci to z dobrego serca.«

»To być nie może,« — odrzekł mnich, któremu ta ofiara bynajmniéj do smaku nie przypadała — »zabiłeś bliźniego, więc umrzeć powinieneś; tak chce społeczność.«

»Ale to niedorzecznie!« zawołał Pacheko.

»Ale sprawiedliwie, mój bracie.«

»Powtarzam: że to niedorzecznie.«

»Owszem bardzo dobrze i przykładnie.«

»I owszem śmiésznie.«

»Przykładnie.«

»Całkiem nie moralnie!« krzyknął wkońcu Pacheko, nie mogąc się powstrzymać. »Bo odpowiédz mi, *padre*, na moje zapytanie. Jeśli kto naprzykład skradnie konia, nazywa się złodziejem; ale jeśli mu

kto tego samego konia odkradnie, jakże tego drugiego złodzieja nazwiesz?«

»Tak właśnie, jak to sam powiedziałeś: złodziejem.«

»Bardzo dobrze, *padre*, zgadzamy się jak widzę; idźmyż daléj. Jakże nazwiesz człowieka co bliźniego zabija?«

»Zabójcą.«

»Dobrze. A tych co tego zabójcę zabijają — jakżebyś nazwał?«

To był wystrzał niespodziany. *Padre* zamyślił się chwilę, poczém zawołał: »Ej co tam, to rzecz nie na twoję głowę! Jestem zanadto dobroduszny, iż się z tobą w takie rozprawy wdaję. Jesteś skazany, a zatém sprawiedliwie — boś skazany, a na tém koniec; ty nic nie umiész, a ja mam w domu cztéry tomy św. Augustyna, który niezawodnie ma takież samo jak ja zdanie o karze śmierci.«

»Cóż mi to pomoże!« mruknął na śmierć skazany. »Sam święty Augustyn gadałby nadaremnie, gdyby mię chciał o sprawiedliwości mojéj śmierci przekonać.«

Na te bluźniercze słowa machnął *padre* ciężkim krzyżem co miał siły, i spuścił go potężnie na ramię Pacheka, który aż jęknął z boleści.

»Chrystus przebacza, a nie bije;« mruknął Joachim półgłosem.

»Niech i tak będzie;« — ozwał się *padre* — ale co do mnie, nie dam ci rozgrzészenia.«

Tych słów kilka sprawiły wielki skutek na winowajcy; z szydercy i zuchwalca stał się nagle pokornym i uległym. »Racz mi przebaczyć *padre*, uznaję że zbłądziłem, ale nie odmawiaj mi rozgrzészenia!«

»Bądź spokojny, mój synu;« — odrzekł *padre*, ucieszony swojém zwycięztwem nad krnąbrnym duchem winowajcy — »przyrzekam ci rozgrzészenie. Zresztą nie sądź, aby mnie twój opór gniewał; jestem cierpliwy i lubię rozprawiać rozumnie z bliźnimi, aby ich oświecać.«

Biédny Pacheko wziął się za ramię, po którém go mnich był uderzył, i szedł daléj w milczeniu. W ćwierć godziny przybył orszak na plac tracenia. Byłoto nad brzegiem szérokiéj i przeźroczystéj sadzawki, ocienionéj bujną równikową roślinnością, u stóp olbrzymiego drzewa, gdzie nieszczęśliwy don Antonio V... zamordowanym został. Na tém samém miejscu wznosił się teraz, wkopany w ziemię, wysoki krzyż drewniany, z niską ławką u dołu. Krzyż ten, który zwykle dla postrachu pospólstwa był pod murem więzienia na widok publiczny wystawiony, służył już do niejednéj exekucyi, jakto jego mnogiemi kulami podziurawione ramiona zaświadczały. Posadzono Pacheka na ławce pod krzyżem i przywiązano go mocno do słupa; ręce zaś rozciągnięto do obu ramion krzyża, i sznurem przymocowano.

Tak rozkrzyżowany, z odkrytą całkiem piersią, zaczął Pacheko dość silnym głosem ostatnie odmawiać modlitwy.

W Mexyku panuje zwyczaj, iż kiedy skazany *credo* domawia, ksiądz daje mu głośno rozgrzészenie, a w tejże chwili oficer dowodzący rozstrzélaniem, podnosi szpadę, lub skinie chustką, aby dano ognia do niego. Tym razem jednak skazany nietylko skończył *credo* spokojnie, ale nawet odmówił *confiteor* i psalm pokutny.

Przyczyna tego niezwyczajnego wykroczenia od przyjętego trybu ztąd pochodziła, że jeden z trzech zaimprowizowanych żołnierzy, którzy więźnia rozstrzélać mieli, to jest: ten sam olbrzymi Indyjanin, o którym wyżéj wzmianka była, nie mógł się z alkadem o cenę zgodzić.

»Powiadam wam i powtarzam,« — zawołał prawie z oburzeniem — »że nigdy nie wystrzelę do przyjaciela za mniéj jak sześć realów.«

Że zaś alkad także się przy swojém opiérał i nie chciał postąpić nad to co mu wprzód dawał, więc trudno było przewidzieć, jakby się ten spór był zakończył, gdyby mu *juez de letras* nie położył był tamy dowodem niesłychanego poświęcenia.

»Niech kto pobiegnie co żywo do mego domu, i przyniesie tu natychmiast karabin i ładownicę Pacheka, które wiszą nad mojém łóżkiem, jako dowody jego zbrodni. Wybornyto karabin; nie oddałbym go za trzydzieści piastrów; tylko proszę bardzo, aby mi go po rozstrzéla-

niu wrócono, gdyż on do aktów należy.«

Natychmiast puścił się goniec konno, i przywiózł tak niecierpliwie oczekiwaną strzelbę.

»No, jakże? Któryż z was chce teraz zarobić sobie cztéry reale?« rzekł *juez de letras,* sam broń nabijając.

Kilku *leperos* (ludzi z najniższego pospólstwa) wystąpiło słysząc taką ofiarę. *Juez* wybrał jednego, którego sądził najśmielszym, znanego oddawna złodzieja, i wręczył mu strzelbę wraz z cztérema realami.

Alkad tryjumfujący nie mógł przenieść na sobie, aby się nie odezwał do Indyjanina, który ofiarę jego odrzucił. — »No, i cóż, Joze, widzisz że się bez ciebie obejdzie.«

»Jaka płaca taka praca;« — odpowié Joze, wściekły, iż mu się tak dobry zarobek wymknął — »po robocie poznaje się robotnika; zobaczymy — zobaczymy!«

Wreszcie nadeszła nieszczęsna chwila. Trzech *leperos,* uzbrojonych w karabiny, ustawionych o sześć kroków od Joachima Pacheka, wycelowało do niego i czekało znaku do wystrzału.

Oficer skinął szpadą, ale jeden tylko wystrzelił. Joachim Pacheko wydał jęk przeraźliwy, pochodzący jedynie ze strachu, bo kula zerwała mu tylko sandał u nogi, który wpadł w sadzawkę. Drudzy dwaj oprawcy nie wystrzelili z bardzo ważnych przyczyn: pierwszemu zdało się, iż go ktoś z tyłu po imieniu zawołał; a iż to był bardzo grzeczny człowiek, przeto odwrócił się, aby odpowiedzieć wołającemu; drugi, w chwili pociągnięcia cyngla, postrzegł że skałka u karabina źle była zacięta, i dobywszy krzesiwka z kieszeni, zaczął ją z chwalebną krzesać gorliwością.

Za drugą komendą znowu tylko jeden strzał dał się słyszéć; ale i tym razem podobnież nie można było zarzutu czynić nikomu, bo *lepero* który wystrzelił — a byłto właśnie ów przez alkada wybrany, co i pierwszym razem strzelił — wstrzymał towarzyszy od strzélania i poskoczył ku Joachimowi, by zobaczyć skutek swojéj zręczności, dumnie pokazując tłumowi odłom drzewa, utrącony jego kulą od wiérzchu krzyża, o stopę nad głową na śmierć skazanego.

»Wymierzyłem jak nie można było lepiéj, kula poszła w cel prosto!« rzekł z prawdziwém zadowoleniem, wracając na miejsce z tryjumfującą miną.

»No, cóż panie alkadzie;« — odezwał się Joze Indyjanin — »co myślicie o ludziach, którzy za mniejszą cenę rozstrzélają? Lepiejbyś zrobił, gdybyś mi dał sześć realów. Bo ja się wcale nie gniewam żeś ze mną się nie zgodził; daj mi teraz sześć realów, a skończę w oka mgnieniu całą sprawę.«

»Joze, — odpowiedział alkad poważnie — »wiédz o tém, że władza sądowa nigdy ani słabą ani zmienną być nie może; jeżeli trzeba, będą dłużéj jeszcze strzélać do Joachima Pacheka, ale sześć realów nigdy ci nie dam.«

Przemilczę okropną i odrażającą scenę, jaka po téj odmowie nastąpiła. Przez pół godziny przeszło strzélało trzech *leperos* do nieszczęśliwego Pacheka, a żaden go przez jakąś niepojętą fatalność, śmiertelnie nie ugodził.

Lepero którego *juez de letras* był wybrał, znając go jako wprawnego złodzieja i mordercę, zawiódł go w oczekiwaniu, bo ani razu nie trafił Joachima.

Poczciwy sędzia nie pomyślał o tém, że to był zbójca, który nie palną bronią, tylko sztyletem skrycie i z bliska wojować przywykł.

Nakoniec musiał nieszczęśliwy Joachim przerwać bolesne jęki i zająć się sam swojém rozstrzélaniem.

»Gdzież jesteś Joze?« zawołał omdlewającym głosem.

»Czegoż chcesz, przyjacielu?« odrzekł Indyjanin, zbliżając się o kilka kroków.

»Proszę cię, zabij mię, *amigo.*«

»Z całéj duszy, mój kochany, ale chcę zato sześć realów, których mi alkad odmawia.«

»Jeźli ci tylko o to chodzi, więc bądź spokojny;« — rzekł daléj winowajca — »najprzód mi w łeb wypal, a potém zabierz sobie z mojéj kieszeni wszystkie pieniędze, jakie tam znajdziesz.«

»A będzie-ż tam sześć realów?«

Dwa piastry przeszło — ale śpiesz się — bo ciérpię piekielne męki.«

»Alež, mój biédny przyjacielu,« — rzekł Joze, zdejmując natychmiast karabin z pleców i mierząc uważnie w Joachima — »mając dwa piastry w kieszeni, dajesz pół godziny strzélać do siebie, a nic nie mówisz!«

Nim jeszcze te słowa wyrzekł, już kula gwizdneła i głośny okrzyk ludu odpowiedział strzałowi. Kula ugodziła w same czoło i rozbryzgała mózg po stronach.

Joze, nie tracąc czasu, rzucił się na trupa przyjaciela swojego i zanurzył chciwie ręce w kieszeniach zabitego.

»Dwa reale! — Kilka cygaretów — i stare karty!« zawołał z rozpaczą, pokazując te przedmioty zgromadzonemu tłumowi. »Ach, Joachimie! Nigdybym się był nie spodziéwał, abyś mi takiego figla spłatał! Pamięć twojéj śmierci, będzie mi wiecznym wyrzutem sumienia!« —

Opowiadanie niniejsze ma tę zaletę, iż jest co do słowa prawdziwém.

Wpływ promieni słonecznych na rośliny.

P. Gardener, dr. med. zamierzył wykazać w gruntownie napisanéj rozprawie, że każdy z kolorów widma słonecznego posiada odmienne własności w działaniu na rośliny; w szczególności zaś, że promienie farbujące rośliny na zielono, a sprawujące zwroty ich ku słońcu, są różne. Zielony albowiem kolor roślin pochodzi od wpływu żółtych promieni, zwroty zaś postrzegane, zależą od promieni błękitnych. Dla przekonania się o tém, skierował p. Gardener heliostat w taki sposób, iż promienie słoneczne wchodziły wewnątrz przeziernika czworobocznego, umieszczonego w okiennicy; otwór przeziernika w wewnątrz izby wchodzący, zamknięty, miał przystosowane pryzma równoboczne z szkła flint zwanego, umieszczone prostopadle. Odbite heliostatem światło wpuszczał do mieszkania otworem wyrobionym w ścienie bocznéj użytego przeziernika; aby zaś promienie omijające pryzma nie weszły do ciemnéj izby, zapobiegał temu użyciem zasłony. Do tych, w Wirginii, w czasie najpiękniejszéj pogody od lipca do końca września przedsiębranych doświadczeń, używał pan Gardener najcześciej młodych roślinek kapusty. Nasiona tych roślin zagrzebywał w skrzyniach z przegrodami ziemią zapełnionémi, lub też w glinianych wazonach, i te w ciemném miejscu zostawiał, dopóki roślinki nie wyrosły na 1 do ½ cala; daléj poddawał je w odległości 15 stóp angielskich działaniu promieni przechodzących pryzma. Na oddzielne przegrody skrzyni, zawierające około 100 sztuk roślinek, padały promienie odmiennego koloru. Po tych przygotowaniach postrzegał ciągle p. Gardener, że rośliny będące w przegrodzie oświéconéj promieniami żółtémi, najwięcéj nabiérały koloru zielonego. Zieloność ta jednak objawiała się dopiéro po dłuższém działaniu światła. Najkrótszy czas potrzebny do zafarbowania zielono roślinek kapusty, wynosił dwie godziny, a niekiedy nawet i sześć. Dla porównania wpływu różnych promieni światła, uważał p. Gardener ile roślinki w różnych przegrodach będące potrzebowały czasu, aby pewnego stopnia zieloności nabyły. Otóż w przegrodzie na którą żółte padały promienie, potrzeba było zazwyczaj 3½ godziny, pomarańczowe promienie zieleniły w 4½ godziny, zielone w 6 godzinach. — Podobnież doszedł p. Gardener także działania promieni słonecznych na zwroty roślin ku słońcu. Wystawiwszy roślinki kapusty w skrzyni bez przegród na promienie z widma słonecznego wychodzące, postrzegamy, że rośliny wszystkie pochylają się w jednym kierunku: wystawione na czerwone, pomarańczowe, żółte i zielone światło, zwracają się ku niebieskiemu, fijoletowémi zaś promieniami oświécone roślinki ku tymże się pochylają. Jeżli przedłużym doświadczenie, rośliny ułożą się na ziemi w podobieństwie zboża, które z przyczyny dwóch przeciwnych wiatrów wyległo. Wspólna oś do któréj pochylają się rośliny, jest linija, po któréj niebieski promień od pryzmatu ku grządce ziemi jest skierowany; niebiesko oświécone, pochylają się wprost do punktu pryzmatu, przez który ku nim dochodzi światło; w świetle zaś czerwoném, pomarańczowém i t. d. będące roślinki, nie zdążają ku pryzmatowi, ale ukośnie ku roślinom oświéconym niebiesko. To zbaczanie umniejsza się tém więcéj, im bliżéj roślinki zostają téj osi: w świetle zaś niebieskiém i fijoletowém będące, mało tylko odchodzą od linii po któréj nachylają się ku oświécającym je promieniom. Z tych i podobnych doświadczeń p. Gardener wnosi, iż siła kierująca rośliny mieści się w niebieskim promieniu, i że przeto, skoro zwroty roślin od błękitnego światła zależą, to błękit niebios, mający bardzo wysokie natężenie w porównaniu z światłem słońca, jest, zdaje się, przyczyną prostopadłego kierunku w wzroście roślin.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 31szy i zawiera: 1) O ogrodzeniu podziałów płodozmiennego gospodar-

stwa. (nadesłane.) 2) O robieniu wódki jałowcowéj czyli tak zwanego holenderskiego *genièvre*. 3) Józefa Browne Wilks patentowane poprawione bicie i czyszczenie olejów roślinnych. 4) O bydle i poprawieniu jego rasy. 5) Instrukcyja, podług któréj tryki, do rozpłodku nabyte, w przewozie utrzymywać należy. 6) Nowy sposób żywienia koni. 7) Wiadomości handlowe.

W końcu przeszłego roku wyszło z druku następujące dziełko: *»Wiadomość o wtórém wydaniu Żywota Chrystusa, przekładania Baltazara Opecia, napisał i podobizny dołączył Stanisław Przyłęcki. Wydanie zakładu naukowego imienia Ossolińskich. We Lwowie*, 1844. (w drukarni Józefa Sznajdera) w 8ce, str. 79, i półarkusz podobizn. (*Odbito* 100 *egzemplarzów*) — Wtóre wydanie tego dzieła, aż do naszych czasów za najpierwszą księgę w języku polskim drukowaną mianego, jest niesłychanie rzadkie, żadnemu z naszych biblijografów nieznane. Jedyny egzemplarz tego wydania, dotąd znany, znajduje się w biblijotece hrabi Ignacego Łosia, radcy sądu szlacheckiego lwowskiego. Prócz najskrupulatniejszego opisania tego wtórego wydania, dołączył autor wiadomość o wszystkich wydaniach tego szacownego dzieła, będącego ważnym pomnikiem języka naszego w 15m wieku.

Statystyka piśmiennictwa w królestwie polskiém. Pisma warszawskie podają następujące daty do statystyki literatury i księgarskiego ruchu w królestwie: Komitetowi cenzury w Warszawie podano w roku zeszłym do roztrząśnienia 325 rękopismów i ksiąg w języku polskim i innych językach nowszych, a 134 w języku hebrejskim. Z piérwszych pozwolono ogłosić drukiem 305, zabroniono 8, zostało do roztrząśnienia 12. Rozpatrzono nadto 102 rękopismów i ksiąg hebrejskich, z których zabroniono 6. Ogólna liczba przedstawionych cenzurze w roku 1844m rękopismów wynosi 459, w roku zaś 1843m było ich 660. Zmniejszenie téj liczby w roku upłynionym ztąd pochodzi, że pisma peryjodyczne i dzieła dramatyczne, które przedtém były roztrząsane przez komitet cenzury w Warszawie, obecnie na zasadzie nowéj organizacyi cenzury należą do osobnego wydziału. Liczba ksiąg przywiezionych z zagranicy wynosiła 15,956 różnego tytułu dzieł, składających 92,384 tomów — w roku 1843 liczono 114,942 tomów. Z tych pozwolono w zupełności 15,631, z modyfikacyjami 118, zabroniono 86.

O krytyce teatralnéj. Jeden z najznakomitszych poetów i recenzentów dramatycznych niemieckich, H. Laube, opowiada w przedmowie do świeżego wydania dzieł swoich, jak będąc jeszcze bardzo młodym człowiekiem, został recenzentem teatralnym przy gazecie wrocławskiéj — i czyni z tego powodu następujące uwagi, *które także mniéj-więcéj do naszych stosunków odnieść się dadzą*: »Musiałem tedy,« — mówi ón — »cały wrocławski teatr recenzować. A trzeba wiedzieć, iż byłem tylko sam jeden, a gazeta wrocławska, pierwszy naówczas dziennik całéj prowincyi, była jedynem pismem, które recenzyją teatru się zajmowało. Tak więc miał młody niedowarzony człowiek wyrokować w sprawach sztuki, których bynajmniéj nie rozumiał i wcale rozumieć nie mógł! Powiedziałbym iż byłoto do nieprzebaczenia ze strony redaktora gazety wrocławskiéj, gdybym nie musiał dodać, iż to powszechnym teraz zwyczajem bywa, poruczać pisanie teatralnych krytyk młodzikom. Większa część tak zwanych literatów uczy się dopiéro gramatyki na recenzyjach teatralnych, a to jest jedną z najbardziéj szkodliwych dolegliwości teatru. Możeż bowiem być krytyka, którаby bogatszego zasobu doświadczenia wymagała, jak krytyka dramatyczna? Sam dramat dla siebie jest najtrudniejszym utworem sztuki, odbijającym w sobie najrozmaitsze postacie i kształty życia, a artysta dramatyczny prócz charakterów indywidualnych, ma zacząwszy od króla aż do żebraka, przedstawiać na scenie postacie, stosunki i zwyczaje, które młodemu człowiekowi są po większéj części bądź nowe, bądź zupełnie nieznane. I o tem wszystkiém ma tenże młody człowiek wyroki stanowić! Jakież więc skutki pociąga taki niestosowny zwyczaj za sobą? Młodemu człowiekowi nie idzie o prawdę, którą tylko długie doświadczenia i gorliwa praca w tym względzie nadają, ale o popis przed światem że on coś umié, że on coś głęboko zrozumiał; ztąd idzie ta namiętna uszczypliwość, lub przesadzona pochwała, ta fantasmagoryja uczucia młodzieńczego, ztąd kradzież słów, zdań obcych, do rzeczy niedorzecznie zastosowanych!

Słońce męczarnią. Pewien znakomity oficer francuzki bawiący w Gorée nad Senegalem w Afryce, pisze ztamtąd: »W tychto gorących strefach, jest coś, co w innych krajach lubią i ubóstwiają, a do czego tu człowiek wkrótce nieprzezwyciężony wstręt uczuwa, to jest — słońce. O wy poeci! którzy tak często równikowe słońce sławicie, nazywając wasze własne ojczyste bladą, ponurą gwiazdą, gdybyście téż przynajmniéj jedną południową godzinę w promieniach senegalskiego słońca spędzić musieli! Natchnienie wasze upłynęłoby w gorących strumieniach potu; przyszlibyście do poznania, ile prawdziwéj poezyi jest w szarém, pochmurném niebie, i owém słońcu, którego skromne promienie sałatę i kapustę pielęgnują. Tu nad Senegalem jest słońce najsroższym nieprzyjacielem, a lekarze rzucają na nie klątew swojéj umiejętności, jako na *principium et fons* (początek i źródło) wszelkich chorób. Skoro ono wschodzi, chowa się Europejczyk w najskrytsze tajniki swego mieszkania, i nie wychodzi, aż gdy ustąpi; jeźli zaś jaki nieodzowny sprawunek wyjść go przymusza, tedy uzbraja oczy zielonémi okularami, a plecy ogromnym parasolem. Trzeba było samemu tego senegalskiego żaru doświadczyć, aby umiéć ocenić wagę słów, znajdujących się zazwyczaj na termometrach: Ciepło nad Senegalem. Opadłszy na siłach z tego »ciepła« — i leżąc w najwyższém osłabieniu — bez możności uśnienia, prawie bezwładnie na łożu, marzymy o oddalonéj ojczyźnie jak o śnie słodkim, i marzymy o owych stronach gdzieśmy zostawili przyjaciół, którzy są tak szczęśliwi, iż mogą widziéć płatki śniegu prószące przed oknami, iż muszą watowane surduty, płaszcze i futra wdziewać, aby nie zmarznąć na dworze.... O, ileż razy tęskniłem rzewnie, abym choć raz jeszcze w życiu mógł zziębnąć pod swojém ojczystém niebem — a potém umrzeć.«

Piastunka z rangą jeneralską. Rodzina cesarza Mikołaja, składająca się z czterech synów i trzech córek, była wypiastowaną od kolebki przez angielskie mamki i *governesses*, zostające pod dozorem pewnéj staréj Szkotki, która była niegdyś piastunką teraźniejszego cesarza. Ta Szkotka ma stopień jeneralski — gdyż w Rossyi mierzy się wszystko na stopę żołniérską — przytém otrzymała order św. Andrzeja, szlachectwo, i znaczne dobra. Dostała się ona przed 55cią laty przypadkowo z pewną szkocką kupiecką rodziną jako pokojówka do Petersburga. Szczęśliwy traf wyjednał jéj miejsce posługaczki przy dzieciach w rodzinie cesarza Pawła, gdzie mianowi-

cie wiele około teraźniejszego cesarza się zatrudniała i angielskiego języka go uczyła. Ztądteż było jego przywiązanie do niéj tak wielkie, iż gdy później za mąż poszła, cesarz Mikołaj nadzor nad całą służbą przy swoich dzieciach jéj oddał, gdzie też wszystkie stopnie wojskowe, aż do obecnego stopnia jeneralskiego, z chlubą przebyła.

Udoskonalenie fortepianów. Wynaleziono właśnie bardzo ważne przyrządzenie u fortepianów, za pomocą którego osiągnięto wreszcie długo poszukiwany sposób transponowania sztuki muzycznéj dowolnie z tonu, w którym ona jest napisaną, w jakikolwiek ton inny, wyżéj albo też niżéj. Wynalazek ten pochodzi od p. Seb. Mercier, z Paryża, który już nań patent w Anglii otrzymał. Od książęcia Alberta, małżonka królowej Wiktoryi, który ten wynalazek pochwalił, nazywają się urządzone tak fortepiany »*Royal Albert-Pianofortes*.« Całe urządzenie ma być nadzwyczajnie pojedyńcze, może do każdego fortepianu być zastosowanem, i zdaje się polegać głównie na przesuwaniu klawiatury przez pociśnięcie pewnéj sprężyny.

Sprzedaż ludzi na korzyść zakładu teologicznego. W dzienniku »*Savannah-Republican*« z dnia 3go marca, z powodu doniesienia o publicznéj sprzedaży pewnéj plantacyi, znajduje się także następująca wiadomość: »Daléj będą sprzedawani o tymże czasie i na tém samém miejscu, niewolnicy-murzyni, jako to: Charles, Piggi i t. d. (razem 6 imion) którzy prawem hypotekowanego długu dyrektoryjatowi teologicznego seminaryjum, to jest synodzie południowej Karoliny i Georgii przysądzeni zostali, a teraz na jéj korzyść licytowani być mają. (Podp.) C. O. Neal, *Deputy-Sheriff*.«

Dowód Indyjanina. Gdy Hiszpanie jeszcze znaczne krainy w Ameryce posiadali, skradł pewien Hiszpan konia dzikiemu Indyjaninowi, który zaniósł nań skargę do sędziego. Przyprowadzony przed sędzię Hiszpan przysięgał się tak mocno, iż koń był jego własnością, że sędzia nie wiedział, jak go o przeciwieństwie przekonać, i chciał go już wypuścić. Wtém rzecze Indyjanin: »Ja dowiodę, że koń do mnie należy!« — i zdejmuje płasz z siebie, rzuca go na łeb koniowi, poczém pyta złodzieja: »Na które oko koń ślepy?« — Złodziej w strasznym kłopocie, powiedział na los szczęścia: »Na prawe oko.« — Tu zrywa Indyjanin płaszcz z konia i — »Widzisz,« mówi; »iż to nie ten koń, któregoś ty posiadał, bo ten ani na prawe ani na lewe nie jest ślepym.« Sędzia przyznał konia Indyjaninowi.

Żenić albo nie żenić się? Niedawno szukał ktoś, w pewnéj niemieckiéj gazecie, doswiadczonego człowieka, któryby mu umiał odradzić ożenienie. Takiż sam doradzca przydałby się był owemu młodemu hrabiemu M., o którym śmieszne zdarzenie opowiadają. Ten młody, majętny i dość lubiony panicz, żył sobie bardzo szczęśliwie; jadł, pił, jeździł, polował — słowem byłto bardzo do rzeczy panicz, czyli jak u nas powszechnie z francuzka mówią: »był bardzo dobrze« (*il était fort-bien*). Czasami tylko uczuwał jakąś tęsknotę, rad był mieć młodą, ładną, bogatą, kochającą żonę, lecz zawsze czemuś osobliwszy lęk go zbiérał, ile razy o zawarciu ślubu pomyślał. Mimo to jednak zakochał się raz przecie w córce jednego ze swoich przyjaciół i sąsiadów, bardzo posażnéj i rozsądnéj panience. A ponieważ ze wszech względów *partyja* obustronnie dogodną się zdawała, przeto postanowił pan hrabia stale i nieodzownie, zabrać się do stanu małżeńskiego. Kilka razy jeździł z gotowém oświadczeniem się rodzicom, ale w stanowczéj chwili zaszła zawsze jakaś przeszkoda — i tak odwlékała się cała sprawa od dnia do dnia, ba, nawet od miesiąca do miesiąca. Nareszcie zniecierpliwiła się już matka panny, i wziąwszy jednego razu niezdecydowanego panicza na ustęp, zażądała aby natychmiast oświadczył, czy się chce, czy nie chce żenić. Przyciśniony kawaler był w wielkim kłopocie, bo jakże tu się oświadczyć, gdy tyle różnych wątpliwości głowę zawraca. Wyprosił sobie więc 24 godzin namysłu, a w końcu — zdał się na wolą bożą. Napisał dwa listy, jeden proszący o rękę panny, drugi przepraszający. Oba te listy wrzucił w kapelusz i użył następującego dowcipnego sposobu wybrania sobie losu. »Szymonie,« — zawołał na służącego — »osiodłaj sobie konia, weź jeden z tych listów co leżą w kapeluszu i zawieź go do pana podkomorzego.« — »Który pan hrabia każe?« — »Który chcesz, wszystko jedno.« Służący wziął jeden, i pojechał. Pan hrabia wziął drugi, i nie spojrzawszy nań, spalił go. Pan podkomorzy mieszkał o kilka mil, a zatém mogła odpowiedź dopiéro nazajutrz przybyć. Czyż to więc nie jest ciekawe, nawet drażliwe położenie, niewiedzieć tak długo, czy człowiek ożeniony czy nieożeniony? Żaden najdrastyczniejszy melodramat francuzki nie dorówna swojém wrażeniem skuteczności tak dowcipnego postanowienia. — Lecz młody panicz urodził się, jakto mówią w czépku. Służący przywiozł mu odpowiedź przyjmującą jego prośbę o rękę panny — a tak został hrabia M. w kilku tygodniach najszczęśliwszym małżonkiem.

Uwaga. W nrze 26m Rozmaitości podaliśmy artykulik pod nazwą »Kontrakty w dawnych czasach« — gdzie, podług Paprockiego, wspomniano, iż — »wojewoda krakowski Cedro kupił wieś Rogoźnik za dwa woły, za sześć łokci sukna brunatnego i za kilka skórek lisich.« Nato otrzymaliśmy list od pewnego księdza Cystersa ze Szczérca, który w obronie wojewody Cedra, fundatora cysterskiego opactwa w Szczércu, przytoczeniem własnych słów oryginalnego dyplomatu fundacyi klasztoru szczérzeckiego z r. 1237go dowodzi, iż owe wspomnione przez Paprockiego woły, sukno i skórki były tylko dobrowolnym dodatkiem do większéj sumy pieniężnéj, jaką poprzedni właściciel Rogoźnika winien był wojewodzie, i za jaką pomienioną wieś mu odstąpił. Na żądanie szanownego korespondenta kładziemy tu dosłownie owo przytoczone przez niego miejsce z oryginału nadania: »*Nos Henricus, D. G Dux Poloniae..... notum esse volumus..... quod comiti T. palatino de Cracov coram concilio nostro, et nostrorum baronum filiolus suus nomine J. quandam villam, quae Rogosnic vocatur, pro quadam summa pecuniae sibi concessae a jam dicto comite jure heraeditario resignavit possidendam, quum ejusdem summae pecuniae persolvendi posse non habebat. Saepe autem jam dictus comes super filiolo suo pietate motus addidit insuper et duos boves, VI ulnas de bruner et pelles vulpinas*.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.